A. D. 1910. Nrus XV.

CURRENDA

X. LEON WAŁĘGA

Dr. ŚW. TEOLOGII

Z BOŻEGO MIŁOSIERDZIA I ŁASKI ŚW. STOLICY APOSTOLSKIEJ

BISKUP TARNOWSKI.

WW. Duchowieństwu Dyecezyi Pozdrowienie i Błogosławieństwo!

O naszych wychodźcach umieściła jedna gazeta niemiecka (Sächsische Volkszeitung, Nr. 123. b. r.) artykuł, nadesłany jej od katolickiego członka nadzoru szkolnego. Artykuł ten przedrukowało następnie pisemko katolickie „Bonifatius-Blatt“ w Nr. 7. b. r., a brzmi on, jak następuje:

„Obecnie w naszem mieście przeróżne władze czynią poszukiwania w celu zbadania, czy też niektóre dzieci z Galicyi, obowiązane do uczęszczania do szkoły, nie usuwają się od tego obowiązku na podstawie sfałszowanych dokumentów i to już od dłuższego czasu. Jeden obywatel z naszej gminy, który zna dobrze stosunki, twierdzi, że w ostatnich latach około 20 dzieci, i to przeważnie chłopców, uczęszczało na naukę dopełniającą, chociaż liczyły dopiero 13, 12, 11 lat, a może nawet mniej. *W kilku wypadkach po wielu dochodzeniach stwierdzono, że między metryką a książką robotniczą były różnice, wynoszące 4, a nawet 5 lat.* Kto fałszuje książki robotnicze w sposób taki rażący, trudno dojść na razie. Jednak na to fałszowanie powinny pilną uwagę zwrócić władze tych miast i miejscowości kraju saskiego, w których się zatrzymują rodziny galicyjskie. Można nie być hakatystą, ale przecież trzeba się mieć na baczności przed tą inwazyą polską, która wnosi nam do kraju żywioły szkodliwe dla naszego królestwa.

Proszę sobie wyobrazić tę młodzież, która bez znajomości niemieckiego języka, dostaje się do fabryk w latach dziecięcych. Musi ona zmarnieć duchowo i cieleśnie. Tacy nie znają i nie uznają żadnej władzy duchownej; *oczywiście nikt ich nie przygotowuje do pierwszej Komunii św.*

To jasne, że ich rodzice są albo bez sumienia, albo ludzie głupi. Dzieci ich wpadają w krótkim czasie w ręce przewrotowców, którzy nie uszanują ani tronu ani ołtarza.

W każdym razie jest rzeczą pożądaną, by i w innych miejscowościach pilną baczność zwracano na tych najmłodszych robotników fabrycznych. *Poprostu nie trzeba wierzyć galicyjskim książkom robotniczym.* Przestroga to uzasadniona przez te wypadki, o których poprzednio była mowa. I trzeba to ogłosić publicznie. Przedewszystkiem dlatego, że dotyczący rodzice, skoro w jednem miejscu władze zmuszają ich dzieci do uczęszczania do szkoły, wyprawiają je gdzieindziej. Gdzie, niewiadomo. Może w inne okolice Saksonii, a może i do Galicyi na kilka tygodni. Wkrótce jednak zjawiają się napowrót w Saksonii.

Przy pomocy katolickich urzędów parafialnych dałoby się może sprostować datę urodzenia, podaną w książce robotniczej. Jeżeli się to nie spodoba rodzicom, to niech sobie dzieci zostawią w Galicyi i sami niech tam zostaną. Nasze katolickie szkoły w kraju nie będą tęsknić za temi dziećmi. Skoro jednak tutaj się znajdują, to trzeba ich rodziców wszelkimi prawnymi środkami przekonywać, że w Niemczech nie wolno tak postępować, jak im się podoba. Tylko wtedy można się spodziewać pomyślnego skutku, jeżeli się wszędzie będzie pilnie czuwać, a na wypadek wykrytego fałszerstwa zawiadomi się natychmiast dotyczące władze. Wartoby wykryć źródło tych fałszerstw.

Wypada jeszcze wspomnieć, że w wypadkach, które u nas zaszły, rozchodziło się o dzieci ze Szczurowy (powiat Brzesko, dyecezya tarnowska), z Dąbrowy (dyecezya tarnowska), ze Zgórska (dyecezya tarnowska), a zdaje się i z Odporyszowa (dyecezya tarnowska). Nadto zatrzymują się tu także niektórzy robotnicy z dyecezyi lwowskiej, przemyskiej i krakowskiej. Wypadałoby jeszcze zbadać, czy się także nie pokażą fałszerstwa w książkach robotniczych ich dzieci. W każdym razie byłoby pożądaną rzeczą, by władze galicyjskie duchowne i świeckie baczną zwracały uwagę na wychodźców".

Do tych słów gazety saskiej dodaje „Bonifatius-Blatt" następujące uwagi:

„Rodzice tacy, którzy swoje dzieci w tak młodych latach oddają do pracy fabrycznej, szkodliwej dla ciała i duszy, muszą to być ludzie bardzo zaniedbani, bez serca i poprostu zdziczali. Co się tam dziać musi w takich rodzinach robotników galicyjskich? Nie chcemy uogólniać, ale śmiało można powiedzieć, że na łonie wielu takich rodzin wyrośnie proletaryat szkodliwy nietylko dla *katolickich* gmin. Niedawno opowiadał mi jeden proboszcz, że widuje młodych robotników galicyjskich swej gminy częstokroć tylko w więzieniu. Niestety, ci młodzi chłopcy w krótkim czasie tracą wstyd i ambicyę. Młodzi Galicyanie stają się formalnie plagą niektórych okolic. Czas najwyższy, aby książki robotnicze wychodźców polskich z Galicyi poddać kontroli jak najściślejszej.

Kler galicyjski powinien roztoczyć czujną opiekę nad wychodźcami, znajdującymi się wśród niemieckiej diaspory. Potrzeba tego koniecznie. Liczba dzieci nieślubnych, urodzonych z galicyjskich dziewcząt, rośnie z dniem każdym. A nawet trafiają się w szeregach galicyjskich Polaków wypadki odstępstwa od wiary i przejścia na protestantyzm. Ludzie ci powinni być dobrze wyuczeni i przygotowani do życia wśród protestantów. Jak obecnie rzeczy stoją, są oni, oprócz chwalebnych wyjątków, niezdrowym elementem dla gmin. A chociaż może jeszcze bardzo wielu z nich raz na rok przy nadarzonej sposobności odprawia spowiedź przed

polskim księdzem, to jeszcze niewiele pomoże. Robi się wtedy ciżba tak, że przez jednę noc trzeba wyspowiadać dwieście, a nawet więcej ludzi. Trzeba podziwiać ich wytrwałość, z jaką całemi godzinami wyczekują przy konfesyonale, ale z drugiej strony gorszą się nasi Niemcy, widząc, jak się tłoczą nietylko obok konfesyonału, ale nawet w czasie samej spowiedzi.

Niechże tedy w Galicyi lepiej przysposabiają ludzi, którzy wychodzą w świat. Tak dalej być nie może i nie powinno.

Trudno żądać, aby w naszych trudnych warunkach w diasporze królestwa saskiego i saskiej prowincyi pastoryzacya Polaków mogła wyrównać i wynagrodzić to, co zaniedbano w ich ojczyźnie. Skoro np. w niektórych wsiach odległych od kościoła katolickiego osiada w kwietniu 200 do 300 Polaków, a nie jest to wypadek urojony, i pozostaje tam aż do początku listopada, kiedy znowu wracają do swej galicyjskiej czy rosyjskiej ojczyzny, jakże wiele musi ucierpieć ich duch religijny, gdy przez tak długi czas pozbawieni są nabożeństwa, kazania i nauki religii katolickiej. Rozumie się, że dzieci takich polskich robotników chodzą do miejscowej szkoły *protestanckiej.* Zazwyczaj ci ludzie nie trzymają się żadnego porządku, przynoszą swoje nowonarodzone dzieci do chrztu o każdej możliwej porze dnia bez poprzedniego zawiadomienia lub zapytania, czy proboszcz jest w domu, czy też gdzieindziej w obrębie rozległej parafii. Pisaniny ma proboszcz z powodu nich dwa i trzy razy więcej, niż z innymi, bo jako obcokrajowcy potrzebują różnych dokumentów, a proboszcz musi się o wszystko postarać; gdyby się nie ulitował nad nimi, nastałyby w zupełnem tego słowa znaczeniu *dzikie* stosunki.

Piszący te słowa jest przekonany, że poruszenie tego przedmiotu nie dla wszystkich będzie miłem i pożądanem, ale sądzi, że my, mieszkający w diasporze, powinniśmy krzyczeć i głośno krzyczeć, aby na te opłakane stosunki zwrócić uwagę wszystkich, których one obchodzą. Nie możemy dłużej tego znosić. Ani Galicya, ani Rosya nie daje nam pieniędzy na budowę naszych kościołów i na utrzymanie szkół naszych. Prawdziwie nie wielkie to wymagania, gdy prosimy, aby tam, w ich ojczyźnie, wytężono wszystkie siły, *celem przygotowania tych ludzi na niebezpieczeństwa, jakie ich czekają w krajach o ludności przeważnie protestanckiej, aby im wszczepiono zaufanie do niemieckiego katolickiego duchowieństwa, a przedewszystkiem przestrzegano ich, by nie szli do takich miejsc, gdzie niema w bliskości ani kościoła, ani katolickiej szkoły*“.

Tyle „Bonifatius-Blatt“.

Z jakim wstydem i boleścią odczytywałem powyższy artykuł, możecie się łatwo, Drodzy Bracia, domyśleć! Tembardziej, że mi z różnych stron Niemiec nadsyłano ten numer pisemka, jako do biskupa dyecezyi, o której mowa w artykule. A więc to wszystko, czegośmy się obawiali, cośmy przeczuwali (w liście pasterskim: „Archanioł Rafał“) o naszych wychodźcach, to wszystko prawda; mamy na to świadectwa wiarygodne. Do tego już dochodzi miejscami, że katolickie gminy niemieckie muszą się bronić przed tą demoralizacyą, jaka idzie od naszych wychodźców. Wizytując parafie, pytam się wszędzie, czy młodzież w świat wychodząca nie psuje się zagranicą i zazwyczaj otrzymuję odpowiedzi uspakajające lub wymijające. Zapewne między tymi, których pytałem, miał niejeden syna lub córkę w świecie i nie chciał

mówić prawdy, a może i rodzice nie wiedzą nic o zachowaniu się ich dzieci zagranicą.

Dobrze będzie, jeżeli XX. Proboszczowie odczytają ludowi ten artykuł, zwłaszcza w tych parafiach, gdzie kwitnie wychodźtwo do Niemiec. Może ten opis wstrzyma niejednego ojca i matkę od wysyłania dzieci w świat, a przynajmniej może nie zechcą wysyłać tam nieletnich dzieci na tak widoczną zgubę.

W tym artykule jest i dla nas wyrzut bolesny, że zamało się zajmujemy wychodźcami, że ich nie przygotowujemy dostatecznie na te niebezpieczeństwa, jakie ich czekają w świecie.

Być może, żeśmy nie zasłużyli na takie ostre zarzuty. Często proboszcz bywa bezradny wobec tych mas, jakie co roku, jak ptaki przelotne, ciągną w dal. W większych parafiach prawie nie można utrzymać ewidencyi, kto poszedł i gdzie się znajduje, zwłaszcza że wielu niechętnie zwierza się przed proboszczem ze swoim zamiarem, gdyż lęka się przeszkody z jego strony. Woli cichaczem opuścić rodzinną wioskę i nieraz najbliższym swoim nie zdradza swego miejsca pobytu, aby się czuć swobodniejszym. Jakże możemy im wszczepić zaufanie do niemieckich proboszczów, kiedy wielu z nich nie ma dość zaufania do swego proboszcza?

A jednak, Drodzy Bracia, czujecie to sami, że sprawa wychodźtwa jest nader wielkiej doniosłości dla naszych parafij i w obecnej chwili i na przyszłość, że musimy robić wszystko, co możliwe, aby złemu zaradzić, a przynajmniej je zmniejszyć. Napróżnobyśmy się silili zatrzymać wszystkich w domu, ale przynajmniej dopilnujmy, by nie szły w świat dzieci nieletnie, które jeszcze nie znają dobrze prawd wiary i nie przystąpiły jeszcze do pierwszej Komunii św. Kładźmy to na serce rodzicom i opiekunom przy każdej sposobności i z ambony i w konfesyonale, nawet pod zagrożeniem odmówienia rozgrzeszenia. Przestrzegajmy przed fałszowaniem książek robotniczych.

Nadto w czasie zimowym zajmijmy się szczerze wychodźcami, którzy wrócili do domu i tymi, którzy się z wiosną w świat wybierają. Pouczajmy ich pilnie o niebezpieczeństwach, jakie ich tam czekają, zwłaszcza dla wiary i cnoty. Po wyjeździe starajmy się, gdzie można, o ich adresy i pozostawajmy z nimi w żywym kontakcie, jeżeli nie sami osobiście, to przynajmniej przez kogoś zaufanego w parafii. Smutnych a odstraszających przykładów nie ukrywajmy, ale *tecto nomine* ogłaszajmy je ludziom, choćby nawet w gazetach ludowych. Utrzymujmy również stosunki z proboszczami tych parafii zagranicznych, w których przebywają i pracują nasi parafianie.

* * *

Może nie będzie bez interesu i korzyści podać tutaj sprawozdanie jednego z młodszych kapłanów naszej dyecezyi z wycieczki, jaką z własnej inicyatywy uczynił do Niemiec, by się przypatrzeć tam życiu naszych wychodźców i popracować choćby przelotnie nad ich zbawieniem.

Fala wychodźcza, jak powszechnie wiadomo — pisze on — z roku na rok coraz to szersze zatacza kręgi, wypędzając rokrocznie przeszło 150 tysięcy ludności z Galicyi zagranicę. Podczas gdy dawniej sporadycznie ktoś tu i ówdzie w pogoni za zarobkiem udawał się na obczyznę, dziś z wiosną wyludniają się nasze parafie, bo bieda i brak

zarobku w kraju nietylko odłącza ojców od rodzin, ale wygania nawet nieletnie dzieci na obcą ziemię za chlebem. Kapłan, jako pasterz dusz, już nawet ze swego obowiązku, ruchu tego ignorować nie może, lecz powinien z nim się zapoznać, by mógł radą służyć swym parafianom, by mógł ich ustrzedz od niejednej szkody na duszy i ciele.

Wglądnijmy w życie naszych wychodźców, przypatrzmy się warunkom, wśród których żyją i pracują. Robotnicy nasi obojga płci są obecnie zatrudnieni jako robotnicy sezonowi polni na latyfundyach rolnych. Sezon roboczy rozpoczyna się około 15. marca, a trwa do 15. grudnia. Obowiązkiem duszpasterza jest zwrócić uwagę parafianom, by nie opuszczali kraju bez kontraktu, gdyż inaczej albo nie znalazłszy pracy, z niczem powrócą, albo przystaną na jak najlichsze warunki. Duszpasterze powinni przestrzedz parafian przed wyzyskiem agentów, a zalecić krajowe towarzystwa emigracyjne, dające robotnikom pewną opiekę prawną. Zarobek dzienny robotnika wynosi około 1·20 M. do 1·40 M. dla kobiet, dla mężczyzn dochodzi do 2 M.; oprócz tego mają roboty akordowe (jak kopanie ziemniaków i buraków). Zarobek czysty robotnika rolnego wynosi rocznie od 200 do 300 Kor., jeżeli oczywiście żyje oszczędnie, nie marnuje grosza, łożąc na przesadne stroje i zabawy. Ogólnie mówiąc, więcej zarabiają kobiety, niż mężczyźni, chociaż płaca tych ostatnich jest większa, z tej prostej przyczyny, że kobiety mają więcej daru oszczędności i mniej potrzeb, a zwłaszcza niekoniecznych.

Od wielkości gospodarstwa zależy ilość zatrudnionych przy niem robotników; są dwory zatrudniające do 200, a nawet i więcej sił roboczych. Wychodźcy mieszkają w t. zw. kasarniach, zwykle domach piętrowych (kobiety na górze, mężczyźni na dole). Porządek w mieszkaniach napotykałem wzorowy. Wikt robotników nędzny i lichy, składający się przeważnie z chleba i ziemniaków. Bezpośrednią opiekę roztacza nad pracującymi włodarz, zw. „Aufseher", zwykle luter, chociaż i Polaków spotykałem. Od niego w wielkiej mierze zależy moralne prowadzenie się wychodźców. Jeżeli włodarz poczciwy, to przestrzega porządku i godzin przepisowych, nie zezwala na tańce, pijatyki i rozpustę, a nawet zdarza się nieraz, że protestant wygania na Mszę świętą naszych ludzi.

Wglądnijmy w niebezpieczeństwa, grożące duszom wychodźców. Najwięcej rąk do pracy potrzebują kraje środkowych i północnych Niemiec, stanowiących dla naszych ludzi środowiska dla zasad religijnych i moralnych niebardzo szczęśliwe, jako kraje przeważnie protestanckie i najwięcej fabryczne. Widzimy wszyscy i bolejemy nad utratą religijności, nad zanikiem zasad moralnych u wychodźców, wiemy, że zbytnia wolność i swoboda, zły przykład, brak środków podtrzymujących pobożność, musi niekorzystnie oddziałać na dusze obieżysasów. Lecz czyż bezczynnym i bezradnym ma pozostać duszpasterz parafii objętej wychodźtwem? Nie! On musi, o ile może, złemu przeciwdziałać. Najpierw przez kazania urządzane w domu przed wyjazdem emigrantów (rodzaj małych misyi), przez nawiązywanie i utrzymywanie stosunków listownych z nimi, co zepewni duszpasterzowi wpływ moralny i kontrolę do pewnego stopnia nad wychodźcami. Powinien poddać im jakąś książkę duchowną lub przystępny podręcznik z kazaniami, by odczytując w niedzielę i święta, mogli na obczyźnie zastąpić sobie słowo Boże, słyszane w domu. (W dwóch miejscach

spotkałem, że parafianie nasi odczytywali sobie za zezwoleniem miejscowych proboszczów ewangelię i kazanie po sumie). Wreszcie może zaprenumerować którą z gazet ludowych (n. p. „Prawdę“), a koszta prenumeraty wychodźcy chętnie pokryją. Duszpasterz powinien często przypominać obieżysasom obowiązek słuchania Mszy św., gdyż często się od tych obowiązków dyspenzują bez żadnych powodów. Powinien przestrzegać przed pijaństwem, karciarstwem, tańcami, rozpustą, przypominać obowiązek zachowywania postu i dane dla wychodźców dyspenzy. Najwięcej obrazy Boskiej dzieje się tam zwykle we święta, które u nas obchodzi się w sam dzień, a w państwie niemieckiem przenoszą je na najbliższe niedziele; wychodźcy w te dni wstrzymują się od pracy, do kościoła nie idą, bo niema tam żadnego nabożeństwa, a za to oddają się namiętnie tańcom i pijaństwu. Duszpasterze powinni i na to zwrócić uwagę swych parafian, by pobożniejsi nie robili sobie niepotrzebnych skrupułów, gdy ich wtenczas zmuszają do pracy, a rozwiąźlejsi, by w te dni pracowali, a nie próżnowali.

O tem, jak wielkie przywiązanie do Kościoła i sług jego, a zarazem jak wielką i silną miłość ojczyzny ma nasz lud, miałem sposobność przekonać się w czasie mojej tegorocznej wycieczki pastoryzacyjnej do Niemiec. Trudów, jakie ponosiłem, nie żałuję, bo wrażenia, jakich doznałem, mile zapisały się w mojej pamięci, a ufam w Bogu, że w pracy mojej nie brakło błogosławieństwa Bożego. Przyjęciem przyjacielskiem i serdecznem, jakie znalazłem u XX. Proboszczów, zwłaszcza nad Renem, byłem wprost zdumiony. W środkowych Niemczech już nie widziałem tej serdeczności, aczkolwiek i tutaj przyjmowano mnie grzecznie. Miałem sposobność poznać życie i warunki, wśród których pracują tamtejsi księża, bo wziąłem udział w odpuście wiejskim w pewnej miejscowości nad Renem, w kongregacyi dekanalnej i byłem gościem na imieninach u jednego z proboszczów. Do pastoryzacyi wychodźców najdogodniejszym i najstosowniejszym czasem jest koniec czerwca, a początek lipca, kiedyto najmniej pracy w polu. Wtenczas i chlebodawcy łatwiej uwalniają robotników i kapłan nie potrzebuje swej pracy ograniczać tylko do godzin nocnych, co powoduje pośpiech w pracy pastoryzacyjnej. Właściciele dworów, inspektorzy lub dozorcy przeważnie chętnie uwalniają robotników od pracy, gdy przyjeżdża ksiądz polski, a nawet często zapraszają go do dworu, co czynią zapewne nie z wielkiej sympatyi ku niemu, lecz celem zyskania na opinii. Nakazują czynić porządki w całym dworze, zamiatać i sprzątać, zwłaszcza jeżeli to ma być ksiądz z parafii, z której pochodzą wychodźcy. Całą wycieczkę musi się z góry uplanować i do niej się przygotować. Czas przybycia do pewnej miejscowości zapowiada się listownie tamtejszemu proboszczowi i ludziom, by mieli czas postarać się o uwolnienie od pracy. Spowiadałem przeważnie godzinami wieczornemi i nocnemi, jednak nie dłużej, jak do godziny 12, gdyż robotnicy otrzymywali uwolnienie od pracy w niektórych dworach aż do południa. W czasie spowiedzi śpiewali godzinki, różaniec lub pieśni, którym towarzyszyły łkanie i płacz. Po spowiedzi urządzałem kazanie. Już sam widok i obecność polskiego kapłana wyciska łzy z oczu wychodźców, a cóż dopiero, gdy wejdzie na ambonę i przypomni im ich kościółek rodzinny i zawiezie pozdrowienie ze stron rodzinnych, gdy usłyszą z ust jego kilka słów gorętszych i zachęty do wytrwania w dobrem. Do Sakramentów św. przystąpili wszyscy w tych miejscowościach, w których pracowałem, nietylko kobiety, ale i mężczyźni, bo jak zauważyłem, na obczyźnie

umieją więcej cenić, czem dla nich słowo Boże, czem Sakramenta św.; robią to zaś tem chętniej, jeżeli widzą, że pragnie się dla ich dusz popracować, a nie zbywa się ich tak, jak to czynią niektórzy zakonnicy, którzy spowiadając jakby na akord, stają się przyczyną rozmaitych skrupułów i niepokojów, gdyż pytają się penitentów, czy mają grzechy śmiertelne, a gdy ci odpowiedzą, że nie, dają bez niczego rozgrzeszenie. Po skończonej pracy w danej miejscowości udawałem się do dworów, by wychodźców odwiedzić i z nimi porozmawiać. W każdem miejscu towarzyszył mi miejscowy proboszcz lub kapelan. I jakże mnie podejmowano? Wchodząc do izb mieszkalnych, zastawałem czystość i wzorowy porządek, a w niektórych miejscach przystrojono pokoje zielenią. Obstępowano mnie i pytano ciekawie o kościółek rodzinny, o opuszczonych rodziców lub inne osoby. Tu i ówdzie skarżono się na ludzi, że nie chodzą do kościoła, że przepędzają niedziele na tańcach i pijatykach; takich upominałem, gdzieindziej musiałem godzić samychże wychodźców. Przeważnie jednak napotykałem dwory dobre, gdzie ludność robotnicza pilnie uczęszczała do kościoła, a gdy to było niemożliwem, często spędzała święta i niedziele na modlitwie i czytaniu pobożnych książek.

Najbardziej bolesną i rzewną chwilą dla wychodźców i kapłana, to chwila rozstania. Płaczą, jak dzieci i wśród ogólnego lamentu odprowadzają księdza, czy to do drugiego dworu, czy to na plebanię lub stacyę.

Przykrą sprawą dla księdza, to sprawa pieniężna; wychodźcy, chcąc wynagrodzić trudy księdza i koszta wycieczki dla nich podjętej, składają jakieś datki (w dworach większych wcale pokaźne). Datków tych nie przyjmowałem, ale wychodźcy radzą sobie w ten sposób, że przysyłają je pocztą, tak że koszta wycieczki zupełnie się pokrywają.

Wycieczka misyjna kapłana, jeżeli ją podejmuje w tej myśli, by zrobić coś dla zbawienia dusz wychodźców, musi być błogosławioną w skutkach swoich. Wychodźcy pamiętają ten dzień, w którym kapłan wśród nich bawił, pomyślą na jego słowa i upomnienia, a zasileni Sakramentami św., łatwiej zwyciężą liczne niebezpieczeństwa grożące ich duszy. Nawiązuje się korespondencya, która kapłanowi zapewnia wpływ moralny na nich, a że tak jest, tego wymownym wyrazem jest i to, że roku obecnego otrzymałem przeszło 100 listów, na które i ja odpowiedziałem, służąc każdemu radą i pomocą.

Szkoda tylko, że niewszędzie znajdują się życzliwe Ordynaryaty, lecz są takie, które — nie wiem, czyto z obawy przed agitacyą polską, czy też w imię idei hakatyzmu pruskiego — odmawiają nam udzielenia juryzdykcyi (Paderborn, Hildesheim). Zato w prowincyach nadreńskich i Bawaryi znajduje się dla nas obfite pole pracy dla dobra Kościoła i narodu.

* * *

Do tego sprawozdania mogę tylko chyba dodać życzenie, by młody ten kapłan znalazł naśladowców, którzyby zechcieli w podobny sposób wyzyskać swoje wakacye z korzyścią dla biednych dusz opuszczonych; możeby z czasem udało się zorganizować stałe i systematyczne wycieczki kapłanów dyecezalnych za granicę, celem niesienia pomocy i opieki naszym wychodźcom.

Tymczasem zaś podaję jeden środek, który, jeżeli się uda, może potężnie wpłynąć na umoralnienie naszych wychodźców, a tym środkiem *to formalne rekolekcye, urządzane specyalnie dla wychodźców.*

XX. Misyonarze w Tarnowie ofiarują się urządzać u siebie serye takich rekolekcyi, osobno dla chłopców, osobno dla dziewcząt i to już w adwencie bieżącego roku. Chcący brać udział w tych rekolekcyach otrzymają w domu XX. Misyonarzy nocleg i wikt przez 3 dni za wynagrodzeniem mniej więcej 30—40 hal. dziennie, będą zatem mogli spokojnie i bez rozprószenia cały czas poświęcić sprawie swej duszy. Rekolekcye dla dziewcząt rozpoczną się w poniedziałek po trzeciej niedzieli adwentu, wieczorem, a skończą się w piątek rano, dla chłopców zaś rozpoczną się w poniedziałek wieczorem po niedzieli czwartej adwentu w tym samym porządku. Trudno naprzód przewidzieć, jaki będzie udział w tych rekolekcyach, — to pewna, że dużo zależeć będzie od zachęty ze strony WW. Duchowieństwa.

Właśnie w miesiącu listopadzie wracają wychodźcy do swoich rodzin, dusza niejednego z nich potrzebuje gruntownej kąpieli duchownej, a taką znajdzie w rekolekcyach. Potrzeba tylko gorącej zachęty, a z pewnością nie braknie ochotników; gdzie słowa proboszcza nie wystarczą, można użyć interwencyi rodziców, a zwłaszcza pobożnych matek. Każda serya może liczyć nie więcej, jak 400—500 uczestników czy uczestniczek, gdyż więcej trudnoby pomieścić i obsłużyć. Gdyby jednak liczba zgłaszających się była znacznie większa, gotowi są XX. Misyonarze urządzić po Nowym Roku nowe serye rekolekcyi. W tym celu zechcą XX. Proboszczowie zgłaszać uczestników ze swojej parafii najdalej do dnia 6. grudnia b. r., aby jeszcze można poczynić odpowiednie zarządzenia, ewentualnie podzielić zgłaszających się na dwie serye. Zgłoszenia przyjmuje kancelarya konsystorska i zawiadomi XX. Misyonarzy.

Przy sposobności rekolekcyi mogą się rekolektanci wybierzmować; mimo to nie odpada Bierzmowanie w niedzielę po Nowym Roku. Oprócz chłopców i dziewcząt mogą się zgłaszać na rekolekcye także mężczyźni i kobiety.

Wkońcu polecam tę nowość gorąco modłom Czcigodnych Braci, aby Pan Bóg pobłogosławił tej próbie.

Z KONSYSTORZA BISKUPIEGO.

W Tarnowie, dnia 2 listopada 1910.

X. Dr. Władysław Mysor
Kanclerz.

† LEON
Biskup.

Nakładem Kleru Dyecezyalnego. Z Drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie.